

# *Dzień. z życia Hiacynty Bańki*

*Marcin Bałczewski*

Nieliczni mieszkańcy bloku przy Fritschestrasse 21 nie śpią, kiedy Hiacynta Bańka o godzinie 4.30 rano wychodzi co dzień do pracy. Ponadześcioletnią korpulentną Polkę jak zawsze wita na schodach Han Ono, podstarzały Wietnameczyk kochający się w niej od wielu lat. Wieczorami zostawia jej pod drzwiami gorącą zupę, a to z owoców morza, tofu, a to ugotowaną z własnoręcznie wyhodowanych na strychu grzybów.

Powoli, z owiniętymi elastycznym bandażem stopami, wychodzi na dwór. Wdycha świeże powietrze i zataczając się, idzie w stronę pobliskiej stacji metra. Jest rano, żyłki jeszcze jej nadto nie dokuczają. Hiacyntę wszyscy wokół znają i uśmiechają się, gdy tylko zobaczą opasłą, zawsze uśmiechniętą Polkę z dwoma wypchanymi po brzegi siatkami, wyruszającą w stronę pracy. Przed wejściem wyjmuje starą, haftowaną chusteczkę i wyciera pot z czoła. Na tablicy przed salonem, w którym pracuje Bańka, umieszczono pozłacany napis: „W walce z niesfornymi lokami, zniszczonymi włosami, drobnymi i głębszymi zmarszczkami, niechcianym owłosieniem czy dodatkowymi kilogramami proponujemy sprawdzone metody, takie jak mikrodermabrazja, elektrostymulacja, mezoterapia bezigłowa, dermomasaż, drenaż limfatyczny lub keratynowe prostowanie włosów i ondulację. To jednak nie wszystko. W walce z wewnętrznymi emocjami, strachami czy niesfornymi uczuciami proponujemy bioenergomasáže, mikrodrenaże i trwałe prostowania”.

Hiacynta swoją pracę rozpoczyna równo o godzinie 6. Wraz z innymi pracownikami stoi rzędkiem w kolejce i czeka, aby odbić poźółkłą kartę pracowniczą i rozpocząć

żmudną, codzienną harówkę. Każdego dnia o godzinie 6.15 Hiacynta zakłada swój lateksowy, nieco pijący ją z tyłu kostium w kolorze zgnilej śliwki. Do tego żółte, gumowe rękawiczki i biały kitel. Włosy spina w kok. Jeszcze zamieni kilka słów z koleżankami, a to z pięknowłosą Joanne z Senegalu, a to z Helą z Czarnogóry, która w dawnych czasach była nauczycielką w liceum. Raczej nie ma czasu na poranną kawę, przejdzie obok niedogolonego strażnika, czytającego z rana aktualny numer „Berliner Zeitung”, uśmiechnie się i już biegnie do magazynku po sprzęt, a potem wprost do swojej sali.

Hiacynta Bańka pracuje w niewielkim, wystrojonym w pstrokatą tapetę, na której zobaczyć można afrykańskie ptactwo i palmy, pokoiku bez okien. Pośrodku stara skórzana kanapa z żółto-czerwoną narzutą, za nią parawan – dla bardziej wstydlivych – a obok stolik z wazonem z kilkoma sztucznymi fiołkami. Bańka zawsze przed obserwuje klientów. Patrzy na nich, próbuje znaleźć punkt oparcia – często się przewraca. Nie mówi, dopóki oni nie zaczną. Zastanawia się, czego tak naprawdę chcą. Czego potrzebują, jak im pomóc. Niektórzy pragną jedynie masażu, część prosi o ondulację lub zwyczajną mezoterapię bez igłową. Zazwyczaj przed południem pojawia się niewysoki jegomość o śniadej skórze, który każe mówić na siebie Johan, z akcentem na h. Przez pół godziny stawiają sobie pasjanasa, ewentualnie zagrają w wojnę, jeśli tylko starczy czasu. Tuż po nim pojawia się ponętna, dwudziestopięcioletnia Helga, zawsze w obcisłych sukienkach i ze zbyt ostrym makijażem. W czasie wrywania niepotrzebnych włosków z opuszków palców u stóp rozwiązuje jedną z setek krzyżówek. Gdy nie zna jakiejś odpowiedzi, zawsze pyta Hiacyntę. – Inaczej mezażka? – Butelka. – Dwanaście miesięcy? – Rok. – Rodzaj roślin w rodziny szparagowatych na H? – Hiacynt. Bańka wygląda za drzwi – kolejka. Kilkunastu zainteresowanych, części z nich dziś nie obsłuży, niektórzy zapisują się z trzymiesięcznym wyprzedzeniem.

Od godziny 14 Bańce przysługuje dwugodzinna przerwa obiadowa. Wtedy strudzona siada w grupce wraz z pracownikami z krajów byłej Jugosławii, jedyną Polką pracującą wraz z nią, Anną Hodzikowską, a także kilkoma uchodźcami z dalekiej Azji. Gdzieś obok stolik z uchodźcami z Afryki – oni nie trzymają się z innymi, chociaż są mili i uprzejmi, wolą być sami. Nie ufają Słowianom. – Za dużo robią – powiadają. – Nie czują luzu, tego *feelu*. A pod oknem kolejna grupka – trzech Turków i uchodźca z Syrii. Ci nie lubią zarówno Słowian, Azjatów, jak i Afrykańczyków. W sumie nie lubią nikogo poza samymi sobą. Według nich Słowianie również niepotrzebnie tyle pracują. Nie myślą o odpoczynku. Bańka nie ma o nich zdania, nikt nie ma. Także o młodej Niemce, która skończyła fizjoterapię – nie cierpi Hiacynty, bo ma więcej klientów, jest pulchna i uprzejma, wszyscy się do niej garną. Po godzinie dyskusji, czytania tutejszej prasy, fragmentów kolejnego harlequina czas na krótką drzemkę. Potem pobudka, lekka kawa, croissant i powrót do pracy.

W kąciку jeden z chuderlawych Niemców zapyta, czy może zaśpiewać hymn narodowy. Niemcy wygrali mistrzostwa świata w piłce nożnej. Tak bardzo chciał zaśpiewać pod Bramą Brandenburską, ale się bał. Oni nadal się tego boją. Boją się nacjonalizmu i pokazania, że kochają swój naród. Bańka to rozumie i pozwala. Nawet intonuje: *Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt...* Potem szybkie masowanie ciała i kolejny klient. Owłosiony od stóp do głów Bruce, pracownik jednej z wiodącej firmy IT. Przychodzi tu raz w tygodniu, prosi o dziesięćminutowe chłostanie, to go rozluźnia i pozwala

dalej pracować. Nie musi potem krzyknąć na podwładnych, a to mu się w przeszłości zdarzało. Potem kolejni, mali i duzi, czarni i biali, Azjaci i Europejczycy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Niektórzy są tu pięć minut, niektórzy i półtorej godziny. Bańka co jakiś czas musi przemyć spoczone pachy. Udaje się do toalety, gdzie wyciera się papierowymi ręcznikami. Potem wraca i czeka na kolejnego gościa. I pojawia się, siedzi i zapisuje to, co się dzieje: „Hiacynta okładała kolejnego chętnego. Stawała pośrodku pokoju i waliła go po twarzy. Potem przyniosła dość potężną dyscyplinę, za pomocą której wbijała petentowi wiedzę z podstaw fizyki kwantowej do głowy”. Potem pokornie wychodzi, zostawiając Bańce kopię swojego niedokończonego jeszcze opowiadania. Następnie czas na masowanie piersiami łysiny podstarzałego Niemca. Polka pokątnie sprawdza zegarek, jest 17.45. Czas na ostatniego klienta. Potężnego Jana, który przez prawie 20 lat siedział w więzieniu. – Za kradzież wurstu – uśmiecha się zawsze. Na ciele ma wiele tatuaży. – To moja pierwsza żona Inga, to druga Brunona, a to moja matka, Chrystus, Matka Boska, Asterix i symbol płodności – opowiada. Po 15 minutach płaczu w objęciach Bańki wychodzi, wycierając oczy. Ona w tym czasie schodzi na kolejną przerwę.

Praktycznie wszyscy pracownicy już skończyli. Hiacynta jednak z kilkoma uchodźcami z byłej Jugosławii zostaje na nadgodziny. Wspólnie oglądają program telewizyjny, coś w rodzaju Koła Fortuny, jedzą kolację – jakąś bułkę, kielbasę, czasem sałatkę. Zdarza się, że wspólnie kupują coś na wynos, zazwyczaj z pobliskiej tajskiej budki. O godzinie 19 zaczynają czyścić kantynę. Bańka poleruje ją przez godzinę. Potem staje pośrodku i śpiewa stare polskie pieśni ludowe. Po oklaskach schodzi z drewnianej, czerwono-białej sceny. Idzie się umyć, przebiera się, odbija kartę pracowniczą i idzie do kolejnej pracy. Musi się spieszyć, by zdążyć na metro. Czasem jeszcze uśmiechnie się do nocnego stróża, tego bez jednego oka, bo tego młodego nie lubi, jest dla niej zbyt gburowaty i dziwnie na nią patrzy.

O godzinie 20 zawsze jest na miejscu. Ochroniarz z brzuchem wita ją z uśmiechem i podaje luk. Przez kolejne dwie godziny Hiacynta Bańka musi sprawdzić wszystkie cięciwy, strzela i ocenia. Czasem przy tym śpiewa. Niekiedy za dodatkową opłatą tańczy przed właścicielami firmy. Strasznie ich to raduje. Czasem ktoś się nasunie i zdenerwowana Hiacynta musi delikwenta delikatnie, aczkolwiek stanowczo wyprosić ze strzelnicy. Mawia: – Dziwna to praca, ale dobrze płacą, jak za nadgodziny. I lody niekiedy dają za darmo. Od sponsora generalnego, do testów, wszelkie smaki.

Wieczorami, około 22.20, przechadza się Kurfürstendamm, przyglądając się witrynom Prady, Gucciego czy Dolce Gabbany. Z zaciekawieniem obserwuje turystów robiących sobie zdjęcia przy kolejnych pstrokato wymalowanych niedźwiedziach, symbolach tego potężnego miasta. Mija całodobowy rosyjski market – czasem kupi coś na śniadanie, mają tu dobre, każdego dnia świeże owoce, nie poleca alkoholi, tańsze są tuż za rogiem. Codziennie około godziny 23 Hiacynta wraca do domu. Obładowana siatkowymi torbami z warzywami, owocami czy mięsem, zziębnięta wchodzi na górę. Zmęczona Bańka pokonuje kolejne schody i piętra. Uśmiechnięta, że jak zawsze pod jej drzwiami czeka na nią talerz gorącej wietnamskiej zupy.